

AGNIESZKA OLEJNIK



MOJE WŁASNE  
NOTTING  
HILL



FILIA



AGNIESZKA OLEJNIK



MOJE WŁASNE  
NOTTING  
HILL

FILIA



## ROZDZIAŁ 1

Wnętrze domu pachniało drewnem i woskiem. We wpadającej przez przybrudzone okno smudze światła wirowały w szalonym tańcu drobinki kurzu. Jedna z desek zaskrzyphiała żałośnie, gdy Mila postawiła na niej stopę.

– Tu zaplanowaliśmy salon – wyjaśniła Alina, wymijając córkę i stając w słonecznej plamie. – Tata bardzo chciał mieć widok na te czerwone dachy. Mówił, że są bajkowe i że chce na nie patrzeć do porannej kawy. Wiesz, inni lubią do kawy ciasteczko, a on marzył o kawie z widokiem.

Naciągnęła na dłoń rękaw swetra i szybko otarła łzę, tak jak to robią dzieci, gdy nie chcą zostać nazwane bekami. Potem odwróciła się i dotknęła ściany obok framugi, udając, że sprawdza, czy tynki już wyschły.

Mila podeszła do szerokiego okna z wyjściem na niewielki taras, który właściwie nie był jeszcze tarasem, a jedynie prostokątem surowego betonu. W dole rozpościerała

się wioska z domami pokrytymi dachówką w różnych odzieniach czerwieni i terakoty. Niektóre dachy wydawały się łaciate – te musiały mieć swoje lata i wiele napraw na koncie; inne były nowiutkie, jednolite. W miejscowości Lipowa znajdowały się wyłącznie niskie budynki, jeśli nie liczyć niewielkiego kamiennego kościółka. Oczywiście z czerwonym dachem.

– Ładnie – mruknęła. – Nie spodziewałam się...

– A co myślałaś? – Matka się obruszyła. – Przecież mówiliśmy ci, że to piękne miejsce.

– Myślałam, że ten wasz dom stoi w samej wsi – wytłumaczyła Miła. Mama zawsze była trochę obrażalska, a w dodatku teraz, po śmierci ojca, z powodu byle drobiazgu uderzała w płacz. – No wiesz: obora, szopa, kurnik, błoto na podwórku... Tak to sobie wyobrażałam.

– Tatuś nazwał go Domem na Wzgórzu. – Głos Aliny był cierpki i pełen urazy. – Nawet tabliczkę zawiesił na ganku, nie widziałaś?

– A co ma do tego tabliczka, mamó? Po prostu sądziłam, że kupiliście typowe wiejskie gospodarstwo, a w dodatku tata wspominał, że marzy mu się prowadzenie agroturystyki...

– Ale to nie miała być agroturystyka w takim znaczeniu, że ktoś przyjedzie i będzie doił krowy albo się przyglądał, jak kury znoszą jajka. Nie słuchałaś? Mówił o pięknym widoku, kawie na tarasie, posiłkach jedzonych w ogrodzie, łowieniu ryb w stawie po drugiej stronie tej górki...

- Staw też należy do nas?
- No też. Już jest zarybiony. I pomost tatuś zbudował, i ławeczkę na wzgórzu...
- Hmm, rzeczywiście. Prawdziwa posiadłość.
- Opowiadał ci przecież – zniecierpliwiła się Alina. – Zawsze powtarzał, że to jego miejsce na ziemi. Ale ty nigdy nie miałaś czasu, żeby przyjechać, żeby mógł cię oprowadzić! Nawet na święta wpadałaś do nas jak do restauracji. Telefony ucinałaś tym swoim: „Oddzwonię później”. A teraz już na wszystko jest za późno i już nigdy...!

Urwała i znowu się rozplakała. Miła westchnęła. Od pogrzebu mijał miesiąc, a z każdym dniem – zamiast lepiej – było coraz gorzej. Na początku mama jakoś się trzymała, może tylko udawała silną, a może rzeczywiście taka się czuła, jakby znalazła w sobie energię, by stawić czoła nieszczęściu. Przez całe życie niesamodzielna, zdająca się we wszystkim na obrotnego męża, teraz nagle została sama i musiała sobie poradzić: z pogrzebem, załatwianiem spraw urzędowych, sprzedażą samochodu... Chyba właśnie ten nawał problemów wyzwolił w niej przyływ niespodziewanego hartu ducha.

Ale potem się uspokoiło. Po pogrzebie krewni rozjechali się do swojego życia, stopniowo cichły telefony z zapytaniami, jak Alina sobie radzi. Codziennosc wróciła na dawne tory. Tyle tylko, że nie było w niej Tadeusza Batki, budowlańca i elektryka, który od lat marzył o tym, że na emeryturze zamieszka w domu z widokiem na czerwone

dachy Lipowej, a tymczasem nawet nie dożył tej swojej emerytury, zdmuchnięty przez zawał serca podczas oglądania telewizji.

Tadeusz należał do ludzi doceniających życie i umiejących żyć. Ciężko pracował, ale kochał swoją pracę – jeszcze bardziej zaś kochał po niej odpoczywać. Jechał wtedy na działkę, rozstawiał grilla, piekł karkówkę, kiełbasę albo kaszanke, pił piwo, słuchał audycji z przenośnego radjka, rozkoszował się świętym spokojem – i marzył.

Zbudował w życiu wiele domów, zakładał w nich instalacje elektryczne, podłączał, sprawdzał, analizował układ pomieszczeń oraz ich metraż – a po każdej zakończonej budowie wracał do mieszkanka w Lubsku, niewielkim miasteczku, gdzie mieszkał od urodzenia, i notował coś albo szkicował w grubaśnym notesie. Wreszcie, podczas wykwintnego obiadu z okazji pięćdziesiątych urodzin, na który żona i córka zaprosiły go do restauracji w Zielonej Górze, wyjawiał im swoją tajemnicę.

Wstał, wziął kieliszek szampana i uniósł w geście toastu. Na jego twarzy widniała taka determinacja, jakby dzierżył co najmniej porzecz wojenny.

– Alinko, zawsze narzekałaś, że jak na budowlanica przynoszę do domu mało pieniędzy – zaczął, pocąc się nieco od emocji. – A ja cieszyłem się jak psotny dzieciak na myśl o tym, że pewnego dnia zrobię ci niespodziankę.

Alina i Mila zdębiały wtedy, bo przecież były jego urodziny i to one dla niego zaplanowały coś specjalnego.



Spiskowały od miesiąca, wszystko rozegrały doskonale: po obiedzie zamierzały go zabrać na działkę, gdzie czekała, opakowana w błyszczący papier i obwiązana kokardą, nowa kosiarka. Tadeusz często oglądał najnowsze modele i zachwycał się ich możliwościami, choć na działce mieli niewielki trawniczek i w gruncie rzeczy był to zupełnie absurdalny zakup. No, ale marzenie to marzenie, uznały. Nie musi być logiczne.

Tadeusz, widząc ich miny, zachichotał, po czym rozluźnił krawat, rozpiął kołnierzyk koszuli, wypił duszkiem szampana i klapnął na krzesło.

– Przez kilkanaście lat odkładałem na drugim koncie zaskórniaki – wyjaśnił. – Najpierw to tak bardziej z myślą o wakacjach... Myślałem, że kiedyś was zabiorę na luksusowe wczasy, wynajmiemy sobie mały domek i spędzimy cały miesiąc z dala od cywilizacji.

Urwał i powiódł wzrokiem po twarzach żony i córki, a potem wrócił spojrzeniem do Aliny i dokończył:

– Ale później przyszło mi do głowy, że nie trzeba nigdzie jeździć. Można sobie życie zamienić we wczasy. I dlatego kupiłem ziemię i stary dom we wsi Lipowa. Wyremontuję go powolutku i zamieszkamy tam... – Podniósł rękę w obronnym geście, jakby Alina zamierzała do niego strzelić, a ona przecież tylko zmarszczyła brwi. – Nie bój się, nie teraz! Remont trochę potrwa, wszystko zrobię sam! No i trzeba wydatki rozłożyć w czasie, to nie będzie tanie, ale za to wycacam nasz domek tak, jak nigdy żadnego nie

wycacałem! I będziesz miała duży ogród. Akurat przejdziesz na emeryturę i wtedy się przeprowadzimy!

Od tamtego dnia minęło jedenaście lat. Jedenaście długich, wypełnionych codzienną pracą i wyrzeczeniami lat. Tadeusz i Alina zaciskali pasa, bo budowa. Nie jeździli na urlopy, bo budowa. Właściwie zapomnieli, co to odpoczynek – bo przecież budowa! Każdą wolną chwilę spędzali w Lipowej, najpierw rozbierając przeciekający dach i wyburzając zagrzybione ściany aż do podłogi, potem głowiąc się nad koniecznymi przeróbkami, które należało zaplanować już zawczasu, zanim mury znów staną. Godzinami dyskutowali o aranżacji poddasza, usytuowaniu okien, drzwi, tarasu, a potem – gdy Tadeusz postawił ściany – o rozmieszczeniu włączników światła i gniazdek, o rodzaju ogrzewania, kominku...

Mila nie brała w tym wszystkim udziału. W dniu pięćdziesiątych urodzin ojca była dziewiętnastolatką, za dwa miesiące miała zdawać maturę, kochała się w Grześku z równoległej klasy – i niewiele ją obchodziły marzenia ojca o jakimś domu w Lipowej. Ani myślała mieszkać na wsi; wybierała się na studia i tylko nie potrafiła się zdecydować, które wielkie miasto kusi ją bardziej: Warszawa, Poznań czy Kraków. Oczywiście brała pod uwagę i taką możliwość, że nie dostanie się na żaden z wybranych uniwersytetów – a z wiarą w siebie zawsze było u niej krucho – ale ostatecznie się dostała. Na poznański

UAM, gdzie trzydzieści lat wcześniej uczyła się jej matka. Tyle że mama studiowała język niemiecki, a Mila wolała anglistykę.

Wybór kierunku studiów nie był do końca przemyślany, jak to często bywa, kiedy ma się naście lat, a w głowie jeszcze pstro. Pod koniec liceum człowiek nie zna ani życia, ani samego siebie, wybiera więc to, co w miarę znajome i łatwe. Ponieważ mama była językowcem, Mila podążyła tą samą drogą. Może trochę dlatego, że zawsze bała się wszystkiego, co nieznanne i niepewne. Nie miała w sobie ani grama odwagi. Przynajmniej zawsze znajdę pracę, przekonywała samą siebie, kiedy opadały ją wątpliwości. Jeśli nie w jakiejś firmie czy kancelarii jako tłumaczka, to ostatecznie mogę uczyć. Tak jak mama: do południa w szkole, a popołudniami na korepetycjach – angielski i germaniści zawsze znajdą sposób, żeby dorobić.

Gdyby naprawdę miała robić to, o czym zawsze marzyła – zostałaby pisarką. Właściwie pisała od zawsze; wypełniła cały segregator wydrukami swoich prób literackich. Tyle że nie istniał wówczas taki kierunek studiów, który uczyniłby z niej autorkę powieści. Pomyślała więc, że pisanie zajmie się w wolnym czasie, natomiast zarabiać na życie będzie jako filolożka angielska.

Lata mijały, Tadeusz i Alina odnawiali stary dom w Lipowej, a ich córka była pochłonięta własnymi sprawami. Weekendy – jeśli już przyjeżdżała z Poznania – poświęcała na naukę. Na początku spotykała się także

z koleżankami – utrzymywała kilka znajomości jeszcze z podstawówki i gimnazjum. Potem dziewczyny powychodziły za mąż, a niektóre wyjechały z Lubuska. Przyjaźnie, które miały trwać całe życie, jakoś się rozmyły, posypały, okazały niewarte funta kłaków. Z Grześkiem dawno się rozstała; pierwsza miłość rozplynęła się w powietrzu niczym dym znad ogniska.

Już na pierwszym roku studiów Mila postanowiła odmienić swoje życie. A właściwie nie tyle życie, ile samą siebie. Wezmę byka za rogi, postanowiła. Wyjdę ze strefy komfortu, odważę się na coś nowego, zacznę rozmawiać z ludźmi. Nie chciała być dłużej cichą i wycofaną dziewczyną, która wiecznie płynie z prądem. Pragnęła stać się przebojowa, odważna – i wreszcie napisać swoją pierwszą książkę. Aby tego dokonać, myślała, potrzebne są doświadczenia. Nie można pisać o tym, że nic się nie dzieje. By mieć o czym opowiadać, trzeba coś przeżyć.

Podczas kolejnych studenckich wakacji pracowała w różnych branżach – zaliczyła sprzątanie w hotelu w Kołobrzegu, sprzedawanie ciupag oraz góralskich kapci w Karpaczu, kelnerowanie w jednej z krakowskich knajpek i smażenie ryb w Mikołajkach. Co roku obiecywała sobie, że następnym razem poszuka roboty za granicą, ale ostatecznie zawsze tchórzyła, tłumacząc sobie, że szybciej znajdzie coś na miejscu. Od października do czerwca udzielała korepetycji dzieciom i prowadziła zajęcia w przedszkolu językowym. Do tego otrzymywała stypendium za świetne

oceny. Pieniędzy wystarczyło, żeby zamienić akademik na wygodne mieszkanie, które dzieliła z koleżanką z roku, Jagną. Przeżyć i obserwacji – aby napisać grubasną powieść. Niestety, to ostatnie jakoś się Mili nie udało. Zaczynała, ale wciąż coś ją blokowało – i ostatecznie pierwsze rozdziały łądowały w cyfrowym koszu.

Pewnego razu, właśnie dzięki Jagnie i jej przyjaciółom studiującym na Uniwersytecie Medycznym, poznała Kornela, świeżo upieczonego lekarza. Akurat ukończył staż, zdał egzamin końcowy; teraz szykował się do rezydentury. Wybrał neonatologię – i już choćby dlatego Miła natychmiast się w nim zakochała. Wysoki, mocno zbudowany facet o silnych dłoniach, który będzie ratował wcześniaki... Czy istnieje kobieta, której by to nie poruszyło?

Pobrali się już po ośmiu miesiącach znajomości. Miła czuła się wręcz nieprzyzwoicie szczęśliwa. Ślub odbył się w Poznaniu, tam też zaproszono gości na obiad do eleganckiej restauracji. Młodzi nie chcieli wyprawiać wesela – zamiast tego poprosili rodziców o pieniądze na podróż poślubną. Wymarzyli sobie samochodową wyprawę do Hiszpanii. Drobiazgowo zaplanowali trasę (tak naprawdę planował ją Kornel), zarezerwowali noclegi w uroczych butikowych hotelach, każdy z nich w jakimś ciekawym miejscu, każdy z basenem albo strefą spa, bo przecież miał to być naprawdę niezapomniany wyjazd.

Po drodze zamierzali wstąpić do Lubska, ojciec bardzo chciał im pokazać postępy na budowie, a gdy Kornel

zasugerował, że to trochę nie po drodze, Tadeusz usiłował ich zachęcić powtarzającym w kółko zdaniem: „Kiedyś to wszystko będzie wasze”.

Miła z kolei chętnie by nadłożyła drogi. Nie żeby rzeczywiście ciekawiła ją budowa, chodziło raczej o to, żeby nie sprawić przykrości tacie. Jednak zaraz za Poznaniem stanęli w monstualnym korku, a ponieważ pierwszy nocleg mieli zabukowany w okolicach Stuttgartu, Lubsko – a tym bardziej Lipową musieli sobie odpuścić.

„Może wracając, zajedziemy do was”, obiecała wówczas Miła ojcu, do którego zadzwoniła, zanim przekroczyli granicę w Świecku. Ale w drodze powrotnej też nie znaleźli czasu.

Potem tego czasu brakowało jeszcze wielokrotnie. I wtedy, kiedy Miła – już rozwiedziona – wpadała do Lubka z krótką weekendową wizytą, i nawet wtedy, gdy przyjeżdżała spędzić z rodzicami Wigilię albo Wielkanoc. Zawsze „tylko na chwilę”, zawsze w pośpiechu, choć jeśli się zastanowić, właściwie nie miała do czego tak bardzo się spieszyć.

I właśnie dlatego teraz, miesiąc po śmierci taty, dokładnie w dniu, w którym skończyłby sześćdziesiąt jeden lat, była tu po raz pierwszy, a na jej sercu zalegał potężny ciężar poczucia winy.

## ROZDZIAŁ 2

Małżeństwo Mili okazało się nijakie: ani szczęśliwe, ani nieszczęśliwe. Bardzo prędko wyszło na jaw, że brakuje w nim żaru, ale też nie było dokuczliwego chłodu; wydawało się letnie. I trwało niewiele ponad rok.

Alina od początku patrzyła na zięcia sceptycznie. W zasadzie nie miała nic przeciwko niemu, widziała, że młodzi naprawdę są w sobie zakochani – a to przecież najważniejsze. Poza tym chłopak przystojny, mądry, w dodatku lekarz; kto by nie chciał w rodzinie lekarza? A jednak nie okazywała entuzjazmu, nie podsuwała mu pod nos domowych ciast (jak wcześniej Grześkowi), nie odczuwała potrzeby, by mu matkować. Może zniechęcał ją jego sposób bycia? Było w nim coś, co sprawiało, że mama panny młodej czuła się gorsza. Jakieś poczucie wyższości. Nie okazywał go wprost, lecz chyba każdy – może poza jego ojcem, także lekarzem – zauważał

leciutki protekcjonalizm, z jakim Kornel traktował ludzi.

Tadeusz także to dostrzegał, powstrzymywał się jednak od komentarzy. Zależało mu tylko na tym, żeby jego córka była szczęśliwa, a skoro ona lubi takich nadętych dupków, myślał w skrytości ducha, to niechże sobie wyjdzie za jednego z nich. Na ślubie ojciec panny młodej uśmiechał się, ścisnął dłonie krewnym Kornela, prowadził nic nieznaczące rozmowy o pogodzie, cenach paliw i kursach walut – po cichu zaś obstawiał, że za jakieś pięć lat Mila przejrzy na oczy.

Przejrzała wcześniej, właściwie już w Andaluzji, podczas tego miesiąca miodowego, który przeistoczył się w katastrofę. Na każdym kroku Kornel okazywał zniecierpliwienie, że ona tak bardzo nic nie wie o świecie, że jest taka nieobyta i zahukana; nie potrafi zagadać do barmanki, nie zna wymowy słowa *azulejos* albo że zaskoczyło ją, iż góry Sierra Nevada znajdują się i w Hiszpanii, i w Stanach Zjednoczonych.

Mila starała się ignorować wszystkie jego prychnięcia i grymasy. To była jej pierwsza zagraniczna wyprawa – zamierzała się nią cieszyć mimo wszystko. Postanowiła być szczęśliwa, więc uruchomiła siłę woli. Jeszcze długo po powrocie wspominała podróż poślubną jako niekończące się pasmo przygód, oglądała zdjęcia w komórce – i marzyła o kolejnych krajach, które razem z Kornelem odwiedzą.



Kolejnych nie było. Kilka miesięcy później zaczęła się pandemia – która stała się początkiem końca dla ich związku. Kornel pracował w szpitalu, a do domu wracał niemal nieprzytomny ze zmęczenia. Wkrótce sam się rozchorował, przy czym oczywiście zaraził też Miłę. Oboje przeszli zakażenie dość ciężko – i właśnie wtedy okazało się, że nie potrafią się wspierać, dbać o siebie nawzajem, czule troszczyć się o to drugie. Zamknięci w mieszkaniu, zdani tylko na swoje towarzystwo, rychło odkryli, że przestali się lubić, a zaczęli drażnić. Miła zastanawiała się nawet, czy kiedykolwiek darzyli się sympatią. Miłości też nie mogła sobie przypomnieć.

Po rozwodzie dość długo nie potrafiła dojść do siebie. Nie dlatego, że cierpiała. Nie musiała składać w całość złamanego serca, nikt jej nie zranił i ona nikomu nie przysporzyła bólu. Po prostu miała poczucie kłębki. Poza tym, gdy już opadły nerwy związane z rozprawą w sądzie – bo mimo że rozwodzili się za obopólną zgodą, to jednak towarzyszył temu potężny stres – no więc gdy te nerwy minęły, zrobiło się pusto i jakoś bez sensu. Dosłownie. Miła usiłowała o tym napisać, już nawet nie powieść, lecz choćby opowiadanie albo wiersz, ale nie potrafiła. Nie bardzo mogła sobie przypomnieć, dlaczego marzyła o wydaniu książki. Co gorsza, nie pamiętała nawet, po co się żyje i w jakim celu zarabia pieniądze. Zaraz po studiach zahaczyła się w biurze tłumaczeń i choć praca okazała się znacznie nudniejsza

i mniej satysfakcjonująca, niż się spodziewała, to przecież początkowo sprawiało jej radość, że jakoś sobie radzi.

Po rozwodzie nawet to się zmieniło. Miła już z niczego nie czerpała radości. Wyprowadziła się od Kornela (mieszkanie kupił mu ojciec jeszcze w czasach studenckich, więc należało tylko do niego), wynajęła kawalerkę o znacznie niższym standardzie niż ta, w której przed ślubem mieszkała z przyjaciółką – i po prostu trwała. Podczas kolejnej fali pandemii trochę zdziwaczała. Już wcześniej pracowała zdalnie, teraz zaś zupełnie przestała wychodzić z domu, nawet zakupy spożywcze zamawiała online. Z nikim poza rodzicami nie utrzymywała kontaktu. Jagna, dawna współlokatorka, wyjechała do Stanów, by uczyć w dwujęzycznej szkole polonijnej. Miła czuła się więc bardzo, bardzo samotna.

Ojciec, z którym co tydzień rozmawiała na platformie Teams, wielokrotnie namawiał ją na powrót do Lubka.

– Po co masz płacić za wynajem kawalerki – pytał – skoro i tak pracujesz przez internet? To samo możesz robić, mieszkając z nami.

– Będziesz miała domowe jedzenie – wtrącała mama, wyłaniając się z tła. – I trochę ruchu. W weekendy pomożesz na budowie...

– O, właśnie! – Tata ożywał się zawsze, gdy poruszali ten temat. – Mamy tam tyle roboty, że dla każdego coś się znajdzie. Od razu poczujesz się lepiej. Bo taka jakaś zielonkawa jesteś na twarzy...

– To kwestia oświelenia – kłamała Mila. – Czuję się znakomicie. A o powrocie do Lubuska wcale nie marzę, nie gniewajcie się. Dobrze mi w Poznaniu.

Nawet nie oszukiwała aż tak bardzo, bo naprawdę lubiła to miasto. Po terapii, na którą zaczęła chodzić, gdy tylko świat wrócił na normalne tory i można było ściągnąć z twarzy cholerne maseczki, raz i drugi wybrała się do kina, do teatru i na koncert. Ale mimo że nie brodziła już po kolana w tej beznadziei, która zaraz po rozwodzie odebrała jej siły, nie znajdowała też w sobie ani krztyny dawnej ciekawości czy radości życia. Była po prostu uprzejmie obojętna wobec własnego istnienia.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym uznała, że jeśli nie chce zwariować, to w jej życiu coś się musi wydarzyć. Powinna złapać kontakt z ludźmi, rozmawiać z nimi, poznać kogoś nowego. Nie miała pojęcia, co właściwie spowodowało w niej ową gotowość do zmian; może rady terapeutki, która przekonywała Milę, że trwanie w bezruchu jest zabójcze; może kolejny, podobny do tysięcy innych dokument, który przekładała z angielskiego na polski; może seans filmowy, na którym była jedną z nielicznych singielek, podczas gdy wokół niej dziesiątki par trzymały się za ręce... Albo ta niesmaczna kawa wypita w sieciówce przy maleńkim stolyczku, bo gdyby usiadła przy większym, odnosiłaby nieznośne wrażenie, że zajmuje miejsce komuś, kto przyjdzie z towarzystwem – a więc komuś ważniejszym niż ona.

**Ą GDYBY TAK WYRWAĆ SIĘ Z CODZIENNEJ  
RUTYNY, UCIEC OD NUDY, CHOĆ KILKA DNI  
PRZEŻYĆ INACZEJ?**

**Ą GDYBY TAK SPEŁNIĆ PRZYNAJMNIEJ JEDNO  
ZE SWOICH MARZEŃ?**

Mila wiecie nieco monotony żywo jako tłumaczka z języka angielskiego. Nie doświadcza namiętnych porywów, nie miewa przygód – i nie tęskni za nimi. Nawet jeśli czasem odnosi wrażenie, że bezwolnie płynie z prądem, to przynajmniej jest to prąd spokojny, bezpieczny.

Pewnego dnia jednak wszystko staje na głowie. Babcia Lili, ekscentryczna staruszka, życzy sobie, by zabrać ją w wymarzoną podróż do Londynu. Mila ulega tym prośbom, nieświadoma, że odtąd jej życie nie będzie już w żadnym calu spokojne ani nudne. Przeciwnie: zacznie przypominać fabułę hollywoodzkiego melodramatu.

*Moje własne Notting Hill* to powieść, która wywoła uśmiech na Twojej twarzy. Ale nie daj się zwieść. Na wszelki wypadek przygotuj także pudełko chusteczek!

**FILIA**

cena 49,90 zł

wydawnictwofilia.pl



Klub książki

ONA  
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

ISBN 978-83-8402-079-1



9 788384 020791